



Wydawczyni i kierowniczka redakcyi: Helena Hempel w Cieszynie.
 Wychodzi **2 razy** na miesiąc. — Kosztuje rocznie **1 złr.** półrocza **50 ct**

Dom rodzinny.

Co jest dom? Czy to tylko te cztery ściany bielone, o małych okienkach, drzwiach skrzypiących, z ławą pod piecem stojącą i strzechą mchem porośłą, — albo też ów gmach okazały pełen salonów i strojnych komnat z przepychem urządzonych? I jedno i drugie jest domem. Tak samo domem jest ciemna ponura izdebka w podziemiach, gdzie rzadko kiedy zagości złoty promień słońca — albo też owa licha stancyjka na poddaszu, z której widać tylko czarne dymy z kominów i dachy wysokie. Od najnędzniejszej lepianki, do najbogatszego pałacu, wszystko jest domem, lecz to słowo dom, prócz tego że oznacza mieszkalny budynek, ma jeszcze inne, wielkie znaczenie. Słowo to zawiera w sobie wyobrażenie spokoju, ciszy, szczęścia rodzinnego i tego serdecznego ciepła, jakie gdzieindziej spotkać trudno. Dlatego, gdy mówimy o kim: „bezdomny sierota,” to w określeniu tem czujemy jaki ból, żal i tęsknotę czuć musi ten nieszczęsny człowiek bez domu.

Jest on jak ptaszę bez gniazda, wiosna bez kwiatów, lato bez słońca, jak drzewina samotna na puszczy. Człowiek bez domu, to wieczny tułacz, wygnaniec, istota sama jedna wśród wielkiego świata.

To zbłąkany wędrowiec, wśród rozstajnych dróg życia; złamany jego żywot, rozbite szczęście. Zabrakło mu tego światła jakie daje domowe ognisko, ciemności go w około otoczyły, serce zamarzło w piersi, stracony ma cel życia, nie wie dokąd idzie i gdzie spocznie. A jakże wielu takich ludzi nieszczęśliwych wśród świata się znajduje!

A teraz zwróćmy myśl ku tym szczęśliwym, którzy dom rodzinny mają. Jednak z nich nie wszyscy umieją sobie stworzyć szczęście rodzinne, przy rozstłonem domowem ognisku. Dla jednych dom jest jakoby świątynią, której strzegą od wszelkiego skażenia kłótnią lub upadkiem moralnym. Dla drugich, dom jest po prostu mieszkaniem obojętnem, składem martwych sprzętów, albo co gorzej ciężką niewolą. Jednym dom daje wszystko co najsłodsze, najczystsze i najpiękniejsze na ziemi, drugim daje tylko schronienie przed burzą i zimmem, pokarm codzienny dla ciała i — nic więcej. Dla jednych dom jest rajem, dla drugich najętym lokalem, dla innych wreszcie istnem piekłem. Jednych dom pokrzepia, uzacnia i uświęca, drugich trzyma obojętnie wśród ścian swoich, innych poniża i strąca w ciemności duszy i serca.

Ten dobry lub zły wpływ domu nie zależy od tego, czy dom jest bogatym pałacem lub nędzną chatką, czy się składa z wielkiej liczby zbytkownych komnat, czy też z jednej ubogiej izdebki, ale od tego, jaki duch w tym domu gości i napełnia jego ściany.

Dom, jako przybytek rodzinny, jest zespoleniem dwojga serc i dusz, które rozpalając ognisko życia, wnoszą w ten dom, ducha, myśl serce i dobrą wolę, a postawiwszy przed sobą cel obrany, dążą wspólnie do niego. Od tego, jaki będzie duch kierujący mężem i żoną, którzy mają w przyszłości stać się ojcem i matką rodziny, zależy owa świętość, wielkość i powaga domu. — albo też jego nicość, próżnia i upadek. Łatwo jest skleić małą lepiankę, łatwo też i bogaczowi wzniesić ogromny pałac, ale stworzyć dom, który przez miłość zgodę i pobożność stanie się przybytkiem prawdy, światła i cnoty, potrafi ten tylko, kto żyje duchem bożym i miłością ludzi.

Niech dobrze rozważy, ile powinności bierze na swą głowę ten, co zakłada dom, ten, co ma być głową jego i ta, co ma być jego sercem.

Kto bez miłości rozpala domowe ognisko, nie utrzyma go, choćby własną piersią dodawał mu ciepła. Zagaśnie ono, jeśli nie będzie zasilane tym bożym płomieniem, który to co złe, żarem swym przetrawia, a oczyszczone grzeje i oświeca.

Więc dom, choćby najwspanialszy, będzie zimny i pusty, jeśli nie ma w nim tego serdecznego ciepła, — a licha lepianka zmieni się w bogaty pałac, jeśli będzie dla męża ciepłem, wypocznieniem po pracy, dla żony światem, dla synów bezpieczną przystanią, a dla córek szkołą wzorową.

Czemuż ta miłość i spokój nie w każdym gości domu, nie przy każdym płonie ognisku, nie zawsze dwie dusze i dwa serca kojarzy? Dla czego ojciec domu ucieka nieraz z niego, bo go wyrzuty, skargi i widok nierządu w nim tylko spotykają? Czemuż syn obcych sobie szuka kątów, bo w domu nie swój się czuje słysząc tylko kłótnie, przeklinania i boską obrazę? Czemu córka płonie ze wstydu na widok zgorszenia i obrazu boskiej, albo też zepsuta złym przykładem, puszcza się sama na występne drogi? — Czemu?

Odpowiedzcie sobie na to sami rodzice, a zwłaszcza ty, matko domu, serce rodziny! Na twoją głowę spadnie odpowiedzialność za rozproszenie członków twego rodzinnego kółka, za rozstrzelanie promieni twego ogniska, które zagaśnie i popioły zimne tylko zostawi!...

Dom jest zarodkiem szczęścia nie tylko dla tych, którzy weń weszli i nowe życie zaczynają, ale i dla tych, co z niego wyjdą w świat i nowe rozpalic mają ogniska. To, czem matka ma obdarzyć dzieci swe, opuszczające dom rodzicielski, jest świętem dziedzictwem, podstawą i zasadą cnót, najdroższym skarbem duchowym na całe życie.

Gdy patrzymy na człowieka występnego, zbłąkanego, nie potępiajmy go, ale raczej zapytajmy z smutkiem: Może on nie miał „domu“ w dzieciństwie? Jakżeż on może być innym?

A gdy widzimy dom nowy, westchnijmy do Boga i prośmy Go, by nie na nędzę, hańbę i niedolę, ale na chlubę rodziny, dobro współbraci i służbę Bogu, dziatki swe wychował!

Zbłąkani łowcy.

Rycerz Jan, mieszkający przed kilkuset laty, w zamku burgundzkim, na wysokiej skale zbudowanym, właściciel rozległych majątności, srogim był panem dla swoich poddanych. Zięć jego, rycerz Godfryd, mało był od niego lepszym; to też okoliczni biedni ludzie drżeli z bojaźni przed nimi. Nie jeden z nich był ciężko pokrzywdzony na cześć i majątku, a zwłaszcza przez

Z wnętrza słychać było od czasu do czasu, szmer modlitw odmawianych i dźwięk pieśni ku niebu się wznoszących.

Rycerze stanęli opodal i ogarnęła ich obu jakaś wielka trwoga. Nagle usłyszeli wyraźnie głos kapłana przemawiającego do zebranych.

Gotfryd zawołał nagle:

— Słyszysz ojcze, jakieś jęki żałosne? to pewnie głosy dusz w czyśćcu, które nas ostrzegają.

— Głupstwo! — odrzekł stary rycerz — to wicher świszcząc po gałęziach. —

I jechali dalej. Po paru minutach, Gotfryd znów z przerażeniem wykrzyknął:

— Biada nam! gwiazdy blednieją i czarne sępy nad nami się unoszą!

Jan odrzekł:

— Chmury się zbierają i śnieżycą będzie większa. Mówisz tak, jakbyś był pijany, a przecie nie mamy do picia.

Po raz trzeci Gotfryd znów powściągnawszy nagle konia, zawołał w przerażeniu:

— Teraz już się nie mylę. Na drodze przed nami widać kule ogniste. Biada nam, biada!

— Tchórze przeklęty! — odrzekł teść pogardliwie — czyż nie widzisz, że to światło pochodzące z jakiegoś domu i że nakoniec dostaniemy co jeść i pić.

Jadąc dalej, dostali się na wielką polanę i ujrzeli wąskie strumienie światła, które rozpraszały ciemności lasu.

Tym razem jednak, rycerz Jan zatrzwożył się czegoś i chciał konia zawrócić. Z głębi kaplicy słychać było znów słowa kapłana:

— Bracia, oto Boże Narodzenie, Zbawiciel przyszedł na świat; Bóg ubogich, Bóg uciśnionych i nieszczęśliwych, pojawił się w postaci Dzieciątka w stajence pomiędzy wołem i osłem. Wszechmocna ręka jego poniży wywyższonych, a poniżonych wywyższy. Pokój ludziom dobrej woli, biada pysznym tego świata!...

Jan i Gotfryd posiadali z koni. Kapłan wewnątrz świątyni mówił dalej:

— Biada, biada, tym bogaczom, którzy nie przynoszą ulgi cierpiącym!..

Rycerze, jakby pod naciskiem siły niewidzialnej, padli na kolana i słuchając jeszcze czas jakiś to groźnych, to pocieszających słów kapłana, na kolanach wreszcie przyczołgali się do drzwi kaplicy, do połowy otwartych, rękami otwarli je na oścież, a czołgając się dalej na kolanach przez środek kościoła, zbliżali się ku ołtarzowi, a potem zatrzymawszy się, pokornie się pochylili, aż czoła ich dotknęły podłogi.

Liczni ich poddani, którymi kościół był wypełniony, ze zdumieniem i trwogą patrzyli na ten widoczny cud boży. Kapłan zaś, gdy zszedł z ambony, podszedł ku klęczącym rycerzom i podawszy im dłonie, podniósł ich i zaprowadził do własnej ich ławki, oddawna przez nikogo nie zajmowanej, potem przystąpił do ołtarza, ażeby drugą połowę mszy św. odprawić.

Prawdziwy ten cud boży stał się dla wszystkich widzialny: Zbawiciel odrodził się w dwu sercach, które go się były wyrzekły.

W dwa tygodnie później, stary rycerz Jan, przedtem srogi pan i rycerz zatwardziały, podzielił teraz majątek swój własny na dwie połowy. Jedną

to, że rycerze ci, odpowiadając bez ustanku polowania, nieraz tratowali pola ubogich rolników.

Razu pewnego, obaj ci rycerze, późną nocą wracali z łowów. Chociaż znali dokładnie wszystkie drogi w tym lesie, tym razem jednak zblądzili. Przez długi czas szukali jakiej znajomej drogi, ale im się nie udało; w końcu, gdy ciemna noc nadeszła, zaczęli kłać siarczyście.

Złe ich usposobienie jeszcze się tem pogorszyło, że byli głodni i spragnieni. Przeklinali złą chwilę, w którą do lasu wyjechali, rozżaleni tem, że w zamku czekała na nich obfita wieczerza, ciepły komin i miękkie łóżko, a tu muszą się tłuc po nocy i zimnie, zgłodniaли i zziębnięci, wśród śniegu, który właśnie padać zaczął.

— Co za wściekła bieda nas dziś prześladowe! — srożył się rycerz Jan — zwierzyzny żadnej dziś nie widzieliśmy, a teraz i przenocować niema gdzie!

— Szukajmy tylko drogi — odpowiedział Gotfryd.

Zsiedli z koni i badali różne znaki, po których myśliwi w lesie miarują gdzie są, lub w którą stronę mają się obrócić. Zapuszczając się w różnych kierunkach, probowali znaleźć ścieżkę, któraby ich na znajomą drogę naprowadziła, ale po jakimś czasie poznali, że w tej stronie lasu po raz pierwszy się znajdują.

Tymczasem coraz później się robiło, nadeszła jedenasta godzina, a głód i zimno coraz więcej dokuczały zbłąkanym myśliwcom. Jechali powoli, zli i zniecierpliwieni, gdy nagle, Gotfryd zawołał z niejakim przerażeniem:

— Na miłość boską, ojcze! przyszło mi właśnie na myśl, że to noc Bożego Narodzenia!

Jan zatrzymał konia, zaśmiał się i rzekł z lekceważeniem:

— I cóż z tego? Czy noc Bożego Narodzenia ma być inna niż drugie? W czymże miałyby się różnić?

— Ale może powinniśmy byli pójść na pasterkę do kościoła, — rzekł Gotfryd. — A teraz Bóg nas ukarał i zblądziliśmy. Żeby tylko co gorszego nam się nie wydarzyło. —

Z tych słów Gotfryda, poznać było można, że jeszcze nie stracił uczucia wiary; a choć teś sztydził z niego i drwił z jego zaniepokojenia, to przecie milczał i jechał dalej ze zwieszoną głową.

Jechali tak przez czas jakiś; Jan od czasu do czasu zadął w swój róg, a potem znów kłał na przemiany. Wreszcie widząc przed sobą migające światła i wieżę wznoszącą się ku niebu, wstrzymał konia i zawołał:

— To kaplica świętego Gralona. Gotfrydzie, wracajmy!

— Czegóż mamy się bać? odparł zięć Jana. — Owszem, zbliżyliśmy się.

— Nie! nie! — zawołał stary grzesznik i porwawszy za uzdę konia Gotfryda, zawrócił się wraz z nim i napowrót w las wjechał. Pędzili tak klusem przez czas długi, uciekając od kaplicy, lecz niespodzianie ujrzeli ją znów przed sobą.

I znów zwrócili się i uciekli i to samo im się wydarzyło. Tak trzy razy próbowali uciec, ale w którąkolwiek stronę się obrócili, zawsze kaplica tańczyła przed nimi.

Wtedy, nie mogąc już się dłużej opierać, zbliżyli się zwolna.

Wielkie okna kaplicy, jeszcze większe im się wydały, a jasność z nich bijąca, obejmowała ich i jakby zapraszała, aby weszli do środka.

połowę polecił swej córce do rozdzielenia między ubogich, a drugą przeznaczył na wybudowanie wielkiego klasztoru, w pobliżu kaplicy św. Gralona. W klasztorze tym, rycerz Jan pobożnie dokonał żywota, pod imieniem brata Jana z zakonu św. Gralona.

Godfryd, zięć Jana stał się później sławnym przez swą dobroczynność i łagodność, więc pamięć tych dwu nawróconych rycerzy czczoną była przez czas długi, tak jak wprzód, wzmianka o nich wywoływała u wszystkich zgrozę i obrzydzenie.

Dziwne są zrzádenia Opatrzności!

Pod krzyżem.

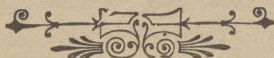
W krzyżu nadzieja, w krzyżu zbawienie,
W krzyżu pociecha i odpocznienie,
W krzyżu ratunek i wsparcie silne,
W krzyżu mądrości prawdy niemyłne.

Więc idź do krzyża, gdy ból cię gnębi,
I świat swym fałszem serce twe ziębi,
Gdy ci łzy gorzkie z ocz ciągle płyną,
Krzyż ci pociechą będzie jedyną.

Nie mów, że Bóg ci daje nad siły
Nieś od kolebki krzyż do mogiły,
Lecz wzmacniaj ducha — posil go cnotą,
Krzyż ci da szczęścia pochodnię złotą.

Temu krzyż ciężki — kto jak morderca,
Wytępił wszystkie cnoty wśród serca,
Kto zabił wiarę — nie zna miłości,
Żyje bez jutra wiecznej przyszłości.

Ale kto kocha i wierzy szczerze,
Ten krzyż w ramiona bez trwogi bierze,
Bo wie, że w krzyżu cisza, zbawienie,
Pociecha, prawda i odpocznienie.





POD KRZYŻEM.

Znak krzyża uzdrowieniem chorych.

Jak wiemy, boleść i smutek są nieraz tak gwałtowne, że sprowadzają pomieszanie umysłu i odbierają niešťczęsnym dzieciom Adama, zdrowie duszy i ciała. I w tym wypadku, znak krzyża jest ratunkiem. Święty Anzelm, arcybiskup, w jednej ze swych apostołskich podróży, uleczył znakiem krzyża niewiaścę, która straciwszy rozum, popadła w szaleństwo.

To samo uczynił św. Bernard w Kolonii, gdzie przyprowadzono przed niego kobietę, która po stracie męża dostawała obłędu i w chwilach napadu chciała sobie odebrać życie, tak, że musiano ją zakuć w łańcuchy. Święty kapłan uczuł żywą dla niej litość. Uczynił nad nią znak krzyża i w tejże chwili rozum i spokój wróciły do jej umysłu.

Znak ten, taką samą siłę posiada i w innych chorobach, nawet tak trudnych do wyleczenia, jak konwulsye. Podczas podróży do Rzymu, św. Malachiusz przywrócił zdrowie pewnemu epileptykowi, położywszy znak krzyża na piersiach tego biedaka, który po kilka razy na dzień ulegał tej ciężkiej chorobie.

Święty Bernard podobny cud uczynił dla uleczenia jednej dziewczyny w Szampanii, która tak silnym ulegała cierpieniom, że pozbawioną była mowy. Sługa ten boży złożył nad nią ręce, uczynił znak krzyża, a dziewczę, uzdrowione zupełnie, przemówiło, wobec wielu zebranych świadków.

— „Leczenie trędowatych, jako i ja“ — rzekł Pan nasz Jezus Chrystus. Uczniowie jego ze czcią przyjęli te słowa, których moc boska przeszła odtąd w znak krzyża.

Gdy św. Franciszek Ksawery nauczał niewiernych w Indyace i sława jego imienia daleko w okół się rozszerzała, pewien trędowaty od wielu lat trapiiony tą nieuleczalną chorobą, zasłyszawszy też o nim, a nie mogąc pokazać się publicznie, błagał go, aby przyszedł do niego.

Św. Franciszek będąc bardzo zajęty, nie mógł uczynić tego, czego pragnął ów człowiek, ale posłał do niego jednego ze swych towarzyszy z poleceniem, aby zapytał trzykroć chorego, czy uwierzy w Ewangelię, jeśli zostanie uzdrowiony. W razie, gdyby przyrzekł nawrócić się, wysłaniec św. Franciszka miał trzykrotny znak krzyża nad nim uczynić. Wszystko się stało, jak święty zapowiedział. Załedwie trędowaty przyrzeczenie złożył, ciało jego stało się tak czyste, jak gdyby nigdy zarażeniem nie było.

I straszliwa choroba raka, która od trądu jest jeszcze pospolitszą, bywała przez krzyż oddalana. Św. Augustyn opowiada o następującem zdarzeniu, którego był naocznym świadkiem:

W Kartaginie żyła bardzo pobożna niewiasta należąca do znakomitej rodziny, imieniem Innocencya. W łonie nosiła ona okropną tę chorobę, którą lekarze zawsze za nieuleczalną uważają. Aby przydłużyć życie dotkniętego tem nieszczęściem, wycina się raka z korzeniem, albo też, dla ulżenia choremu, używa się maści i plastrów rozmiękczejących. Wszelako, gdy choroba widocznie za śmiertelną była uznawana, nie dręczono już chorego bezpożyteczną operacją. Lekarz Innocencyi, który był serdecznym przyjacielem rodziny, odkrył jej całą prawdę, nie ukrywając niebezpieczeństwa. Niewiasta ku Bogu zwróciła się z modlitwą, jemu powierzając los swego cierpienia. Pewnej nocy,

niedaleko przed Wielkanocą, miała sen oznajmiający jej, aby się udała pod chrzcielnicę, od strony kobiet, gdzie czekały na chrzest katechumenki i prosiła pierwszej z nich jaka przy niej stanie, aby zrobiła jej znak krzyża nad dotkniętym zarazą członkiem. Innocencja uczyniła tak jak ją sen nauczył i natychmiast została uzdrowioną. Lekarz, który jej wprzód oznajmił, że nigdy już zdrową nie będzie, ujrawszy ją całkiem uleczoną, zapytał ją ze zdziwieniem, jakiego środka użyła ku uzdrowieniu. Opowiedziała mu co się stało; a on, przybrał wyraz twarzy tak obojętny, iż niewiasta bała się, że wypowie jakie słowa ubliżające czci boskiej i rzekł: — „Myślałem, że mi powiesz coś nadzwyczajnego“. — Lecz widząc, iż Innocencja coraz niespokojniejszą się okazywała, dodał: — „Czyż to może kogo dziwić, iż Jezus Chrystus wyleczył cię ze straszliwej choroby raka, kiedy sam niegdyś wskrzesił od czterech dni zmarłego?“ — Sława tego cudu doleka się po świecie rozeszła, a świadkiem jego było całe miasto Kartagina.

Oto nowy przykład cudowny:

Talassysz, jeden z świętych pustelników, podróżując nocą, stąpił na śpiącą żmiję. Obudzona nagle gadzina mści się wściekle, zagłębiając zęby w podeszwę wędrowca. Ten schyla się i prawą rękę wyciąga do rany. Zmija kąsa go zajadłe w tę rękę, następnie w lewą, która tamtą ratować chciała. Ugasiwszy swą zaciekłość przez zadanie dziesięciu ran, gad jadowity wciska się w swą jamę, a pobożny człowiek sam zostaje wśród lasu, bez ratunku ludzkiego, tylko z bolem okropnym. Lecz sługa ten boży prędko pomoc znajduje; oto westchnął do Pana niebios, przesłał mu krótką modlitwą, uczynił znak krzyża i wrócił do zdrowia.

Teraz opowiemy, jak znak krzyża i śmierć samą pokonał:

Gdy św. Dominik raz jednego miał kazanie w Rzymie, w dawnym kościele św. Marka, między słuchaczami znajdowała się pewna rzymska niewiasta, imieniem Guttadona, która z pobożności wielkie mając upodobanie w jego naukach, porzuciła w domu słabe dziecko, aby nie opuścić kazania. Za powrotem do domu, zastała dziecko martwe. Nie okazując swej boleści, zaniosiła dziecko do św. Dominika. Spotkawszy go w bramie klasztoru, położyła przed nim dziecko, padła na kolana i tonąc we łzach, błagała go, aby jej oddał syna. Święty poruszony litością ręką i po krótkiej modlitwie, uczyniwszy nad dzieckiem znak krzyża, wziął je za rękę, a gdy powstało żywe i zdrowe, oddał matce, której polecił, aby o zdarzeniu tem milczała. Ona jednak w radośnem uniesieniu, rozpowiedziała o tym cudzie po całym Rzymie.

W życiu św. Jana Gwalberta czytamy, iż przebaczywszy mordercy swego brata, został zakonnikiem i otrzymał od Boga dar cudów. Znak krzyża był dla niego bronią cudowną, którą szatana pokonywał. Zbrodniczy zabójca i tu jednak nienawiścią swą go ścigał. Uzbrojony wraz z towarzyszami, napadł i zburzył klasztor, spalił kościół i śmiertelnie poranił zakonników. Święty Gwalbert nadbiegł i znakiem krzyża przywrócił ich wszystkich do zdrowia i życia. Przytoczyliśmy tu po parę przykładów uzdrowień z różnych miejsc i czasów. Gdyby chciano spisać wszystkie, nie starczyłoby miejsca i czasu. Święty Augustyn, Chryzostom, Cyryl, Efreń, Grzegorz, Paulin i stu innych świadków ze Wschodu i Zachodu, ze wszystkich czasów, dowodzą tysiącami świadectw, że ten cudowny znak boży, który dany nam jest jako środek uzdrowienia na wszelkie choroby, nie przestał nigdy przywracać wzrok niewidomym, słuch głuchym, mowę niemym, zdrowie słabym i życie umarłym.

Ktoby chciał temu przeczyć, musiałby z dziejów przeszłości, powydzierać karty na których o tem pisano, a napisać inne jakieś, któreby były jeszcze wiarygodniejsze, niż tamte.

Co zaś do zarzutu, iż znak krzyża nie zawsze odwraca wypadki i klęski, choć go ludzie dla ratunku używają, to według słów św. Chryzostoma nie jest tego przyczyną to, jakoby nie miał on tej władzy, lecz to, że nie zawsze jesteśmy łaski tej godni, lub że dla nas samych jest lepiej czasem, aby wiara nasza na próbę była wystawiona. Kto jednak wierzy silnie, ten nigdy zawiedzionym nie będzie.

Listy od Czytelniczek „Niewiasty“.

Od czasu istnienia naszej ukochanej „Niewiasty“, nie mogłam się zebrać na napisanie do niej choć słów kilku. Dziś to dopiero czynię, a na początek, krótko tymczasem piszę. Przyznam się szczerze, iż gdy do rąk to miłe piśmko wezmę, czytam je z przyjemnością prawdziwą, a o „porządkach w domu“ myślę też często. Mam kilka znajomych i krewnych, które po kilka razy, przysyłają mi „Niewiastę“ czytają z wielkiem zajęciem, i tak, z rąk do rąk podawana ta gazetka, ma dużo czytelniczek, z których niektóre zapowiadają, iż zaprenumerują sobie oddzielnie „Niewiastę“ aby mogły ją rozszerzać jeszcze dalej,

Co do mnie, to pragnę, aby ta gazetka do każdego domu trafiła i aby każda z Sióstr Czytelniczek wczytywała się w nią i czerpała z niej dobre rady i nauki, bo tych potrzeba nam wszystkim, a zwłaszcza takim, które mało jeszcze bardzo mają oświaty, a tych, niestety, bardzo jeszcze dużo w naszych kulikowskich stronach.

Ubolewam nad tem, że w Kulikowie mało jest niewiast, które po polsku czytać umieją, bo prędzej niż inne, mogłyby się czegoś nauczyć, czerpiąc z dobrych książek i gazet oświatę. Ja sama, rusinka rodem, wszedłszy dopiero, przez wydanie za męża, w progi polskiego domu, zawdzięczam Bogu Rodzicom mego męża, iż nabyłam jakiejs nauki, zwłaszcza z gazetek, ludowych, jakie przysyłałicie od najdawniejszych czasów z Waszego wydawnictwa.

Co do „Niewiasty“, to ucieszyłam się niezmiernie, gdy przed dwu laty, dostałam numer jej pierwszy na okaz, a potem dalsze, w których tak pięknie zastosowane przestrogi i nauki dla nas niewiast, jako żon, matek i córek. Jeszcze większa byłaby moja uciecha, gdyby nasza kochana „Niewiasta“ mogła, jak wspomniałam, znajdować się we wszystkich rękach tak polek, jak i sióstr rusinek, by korzystały z tego piśmka.

Mam w Bogu nadzieję, że wzięwszy się do pracy, zdobędę choć kilkaście nowych abonentek, pragnąc, aby nas w krótkim czasie przybyło liżne grono i w pracy tej nie zaspiał.

Kończę to krótkie moje pisanie i Panu Bogu polecam kochaną kierowniczkę „Niewiasty“ oraz wszystkie Siostry Czytelniczki, pozdrawiając je serdecznie.

Helena Trembecka z Kulikowa.

Złote ziarnka.

Wtedy największy spokój na ziemi zdobędziesz,
Gdy nie namiętnie pragnąć w tem życiu nie będziesz.

Gdy jesteś zasmucony, ucz się cierpliwości,
A gdyś szczęśliw i wesół, ćwicz się w roztropności,
Wtedy łatwiej wytrzymasz cios niespodziewany,
I uchronisz swe serce od śmiertelnej rany,
Bo się w tobie świadomość ta zbawienna zrodzi,
Ze się zbyt radować, ni smucić nie godzi.

Jeżeli lenistwo dzisiaj
Próżnowaniem się zabawi,
To lekkomyślność i jutro
Pracę odłogiem zostawi.

Więc nie odkładaj niebacznie
Z dnia na dzień swojej roboty
Bo w domu mieć będziesz nieład,
Nędzę i wieczne i zgryzoty.

Gospodarstwo.

O przechowywaniu mięsiwa. W różnych okolicach gospodarze różnych używają sposobów przechowywania wieprzowiny, aby jej na dłuższy czas starczyło i do jedzenia, i na okrasę. Jakże często jednak te sposoby są licha warte! Naprzykład jedni wysuszają mięsiwo tak, że potem trudno je i gotować, i jeść, a smaku nie ma. U drugich słonina, sadło i samo nawet mięso przechowane bardzo prędko gorzknieje (jejezeje). Niektórzy tak do tego przywykli, iż myślą, że właśnie tak być powinno, że owa gorycz to właściwy smak. Nie wiedzą, że tłuszcz i mięso zgorzkniałe staje się trucizną, i zwolna, a czasem to nawet i raptownie zdrowie człowiekowi psuje. Zawsze zaś ta gorycz sprawia to, że nie tylko sadło, słonina, mięso, ale i wszelkie spożyte razem staje się mniej strawne i nie idzie na pożytek, sił człowiekowi nie doda. Trafiają się jeszcze i tacy gospodarze, u których przechowywane mięsiwo i okrasa poprostu gnieje, zaśmierdnie się, albo robactwo obrzydliwie w niem się lęgnie. Wszyscy tacy gospodarze, o jakich tu wspomnieliśmy, nie umieją przechowywać zdrowego mięsiwa; umieją tylko psuć je i marnować.

Jak wieprzowinę przechowywać najlepiej, będziemy właśnie pisali. Najpierw jednak przypominamy i radzimy, żeby każdy starał się urządzić w swej osadzie jaką taką lodownię. Wszak ona wiele nie kosztuje. Wykopać dół, z wykopanej ziemi podnieść ściany naokoło, zrobić na tem byle jakie wiązanie z drzewa, pokryć darniną, zrobić drzwiczki, a zimą nawieźć lodu i przykryć słomą — ot i lodownia gotowa. A o ileż w niej łatwiej wszelkie mięsiwo i nabiał w dobrym stanie do lata i przez lato utrzymywać!

Aby mięso i tłuszcz przechowywać, należy je przede wszystkim dobrze posolić. Już i solone można utrzymać bardzo długo. Dla większej zaś trwałości, albo i dla smaczności, po soleniu następuje wędzenie.

Do solenia trzeba używać soli suchej, a więc wysuszonej w piecu czyli prażonej, i mialko utłuczonej.

Solenie słoniny. Soli uprażyć tyle, aby jej było po 2 łuty na każdy funt słoniny. Połec słoniny ponakrawać nożem prawie do samej skóry. Brózdą od brózd niech będzie o szerokość trzech lub czterech palców. Wszystką słoninę posypać solą i wcierać sól dobrze w nacięcia. Gdy dwa półcie są już tak posolone, położyć jeden na drugim, aby słonina była we środku, a skóra pod spodem i na wierzchu. Gdy jest więcej półci, to trzeci położyć na tamtych słoniną na wierzch, czwarty skórą na wierzch i tak dalej. Po ułożeniu wszystkich w jakim płaskim naczyniu, naprzykład w nieckach, przykrywa się wszystko deską i naciska kamieniami. Co kilka dni trzeba całą kupę nie rozbierając, przewrócić tak, aby to, co było na wierzchu, poszło na spód. Po dwóch albo trzech tygodniach, dopiero rozebrać, półcie wystawić na wiatr, aby obeschły trochę, i zawiesić w suchem a czystem miejscu, gdzie zaduchu niema, ale dokąd także muchy i motyle nie mogą się dostać. Dla większej trwałości można też półcie teraz uwędzić. Ale trzeba pamiętać, że słonina wędzona dobra jest tylko do gotowania w niektórych potrawach, albo do jedzenia na surowo, jako okrasa zaś psuje najczęściej smak potraw. Dlatego niewędzona ma zawsze większą wartość. Jeśli zaś ją kto wędzi, powinien to czynić w dymie zimnym.

Słonina solona i bez wędzenia doskonale się przechowuje w jakim naczyniu lub skrzyni szczelnie zamkniętej. Może to być zwyczajna skrzynka z desek dobrze zbita, czysto wymyta wewnątrz, wytarta i wysuszona. Słoninę soloną trzeba pokrajać na takie kawały, aby je łatwo było do skrzynki popakować. Spód i boki skrzynki wysłać sianem jak najlepiej wysuszonym, każdy kawał słoniny w takież siano owijać i wkładać, a wszystkie puste miejsca i przedziały kłakami siana zapychać. Pakowanie powinno odbywać się w izbie suchej i czystej, przewietrzanej, aby zaduchu nie było. Gdy się skrzynka upakuje do pełna, a ściśle tak, że już nic w nią wetknąć się nie da, należy ją zabić wiekiem i wszystkie szparki smołą pozalepiać. Trzymając tę skrzynię w miejscu zimnem, najlepiej w lodowni, baczając, żeby drzewo nie nasiąkało wilgocią. W lecie można wieko odbić i obejrzyć słoninę, a w razie gdyby się na niej wilgoć znalazła, obetrzeć, wysuszyć, znowu tak samo w świeżem, suchem sianie zapakować i zabić.

Ziemniaki jako pokarm dla koni. Jak wiadomo, ziemniaki nie są najpożywniejszym pokarmem. Wszelkiem ziarnem można się prędzej pożywić niż przez spożycie ziemniaków. To samo co do ludzi, da się zastosować i do koni, które ciężko muszą pracować. Ziemniaki mogą się wprawdzie przyczynić do lepszego wyglądania, a nawet do utuczenia, ale nigdy nie wyrobią mu sily. Równie pewną jest rzeczą, że pokarm kartoflany dawany w znaczniejszej ilości, wywołuje kolki i inne cierpienia. Surowe ziemniaki spowodzają podrażnienie kiszek i rozwolnienie; gotowane zaś, załęgają i zakwaszają żołądek.

Pomimo jednak tych wszystkich przytoczonych wad, ziemniaczana strawa ma przecież i swoje zalety. Uważać jednak potrzeba, aby w naczyniu była zawsze największa czystość, a jadło, aby trochę soli, dla lepszego sma-

ku. Sieczka, którą się miesza do ziemniaków, kraje się długa, aby jadło dobrze zgryzione i strawione zostało. Do miernej ilości ziemniaczanej strawy, przydany owies dobrze jest trawiony. Gdy daje się jej więcej, można dodać śrut jęczmienny albo groch, bo przy karmieniu ziemniaka, zawsze jakiś surowy pokarm, t. j. owies, groch lub jęczmień musi być dodany.

Tuczenie kur i innego drobiu odbywa się najprędzej za pomocą grochu. W tym celu czyni się co następuje: Groch nieprzydatny do spożycia dla ludzi, moczy się w słonej wodzie, wzięwszy go tyle, ile wystarczy do nakarmienia drobiu przez cały dzień i podaje mu się do jedzenia. Robi się to jak najczęściej. W kurniku musi się znajdować zawsze świeża woda do picia. W ten sposób drób najprędzej się utuczy. Gęsi dostają przez to wielką i białą wątrobę. Dobrze jest także dodawać do pokarmu proszku z węgla drzewnego, co się przyczynia do prędkiego wypasienia.

Karmienie drobiu. Pokrzywy w tym czasie zbierane, w którym mają dojrzałe nasienie, kruszy się i miesza z papką otrębianą i podaje się dwa lub trzy razy tygodniowo.

Kurom powinno być często podawane nasienie konopi, które się bardzo do obfitego niesienia jaj przyczynia.

Cebula drobno pokrajana, pomieszana z mąką i dawana często, usuwa choroby drobiu. W czasie zimnych dni, okazała się zdrową strawa dawana na ciepło, czy to ziarno czy ziemniaki, czy same czy mieszane. Kukurudza, która jest jednym z najlepszych a najtańszych pokarmów dla kur, powinna być przed podaniem prawie upieczoną, ale nie zbyt gorącą, tylko ciepłą. Najlepszym pokarmem dla kur w zimnej porze, jest ciepła mieszanina z tłuczonych ziemniaków, z pszennych otrąb i z proszku z tartych makuch olejnych.

Kury do jakiego wieku trzymać aby korzystać przynosiły, nie można ściśle oznaczyć. Powszechnie mówią, iż po trzech latach trzeba kurę zabić, bo niewarto jej już żywić. Są tacy jednak, co mówią, iż do 4 lat daje jeszcze korzyść. Kury dobrego gatunku jeszcze w szóstym roku niosą obficie jaja, tak jak inne w trzecim roku. To jednak rzecz pewna, że skoro tylko kura źle się nieść zaczyna, zaraz ją zabić lub sprzedać na rzeź trzeba.

Lekarstwo na odsiedzenie. Kiedy od siodła albo od chomonta robi się koniowi na grzbiecie lub na kłębie rana, to obmywszy ją delikatnie czystą, letnią wodą, dobrze jest posypać kawą upaloną i miazgą zmieloną albo upalonym na węgiel i utłuczonym na miazgi proszek chlebem. Posypywana tem codziennie rana, po kilku dniach zwykle się już zabliznia i prędko się goi, bo taki węgiel osusza ją i niedopuszcza do zagniwania.



RADY DOMOWE.



Chronienie sera przed robactwem robi się najlepiej przez obmycie go wodą, w której był ugotowany pieprz na proch utarty. Po dwu lub trzech obmyciach, robactwo ginie bezpowrotnie.

Aby zabezpieczyć szyby przed zamarznięciem użyć należy następującego środka: na litr okowity bierze się 50 gramów gliceryny, zmiesza się dobrze i płynem tym naciera się za pomocą gąbki okno z wewnątrz. W ten sposób zapobiega się nie tylko zamarznięciu, ale nawet zapoceniu okna.

Srodek przeciw paczeniu się, kurczeniu i pękaniu drzewa. Drzewo przeznaczone do wyrobów, powinno się układać do silnego rozczynu soli kuchennej, przez co, drzewo takie, ani od słońca, ani od innych zmian powietrza nie ucierpi.

Lakier na uprząż dla koni. Miesza się 1 i pół litra spirytusu, 20 dekagramów szelaku, 10 dekagramów weneckiej terpentyny, 3. dekgr. olejku lawendowego i 2 dekgr. sadzy. Szelak i terpentyna rozpuszczają się w spirytusie, jeżeli takowy na piecu ogrzejemy. Po ostudzeniu, dosypać trzeba resztę wymienionych części, poczem zlać do flaszek, które silnie należy zakorkować.

Odświeżanie czerniałego żelaznego naczynia, które wprzód było niebieskie, bez naruszenia glazury. Mieszanina złożona z potażu i chlorku wapna, (których można dostać w aptece) rozpuszcza się w 3 litrach gorącej wody, poczerńniały garnek wsadza się do owej mieszaniny i wszystko stawia się w jakim ciepłym miejscu, naprzykład na przypiecku. W krótkim przeciągu czasu naczynie przybiera swą pierwotną niebieską barwę.

Wywabianie plam z wełnianych materyj. Na plamę nalewa się kilkakrotnie po parę kropel słodkiego mleka i każdym razem, kawałkiem waty się wyciera. Następnie, plamę wymyć trzeba w mydlinach i wycierać suchą szmatką.

Jeżeli plama jest dawniejszą i stwardniałą, musi mleko przez dłuższy czas na plamie pozostać.

Płynny klej sporządza się w następujący sposób. 6 części kleju rozpuszcza się w 16 częściach wody, a do tego dodaje się 1 część kwasu solnego i 1 i pół części witryolu cynku (których także można dostać w aptece). Mieszanina ta ogrzewa się w mocnem gorącu, a potem tą gęstą ciecz zlewa się do naczynia.

ROZMAITOŚCI.

Opiekunka nieszczęśliwych. Jest w Warszawie przy ulicy Nowowiejskiej przytułek dla chorych i sparaliżowanych, których uleczyć niemożna. Założyli go i utrzymują swemi darami ludzie dobroczynni. Teraz zmarła w tym przytułku jedna z jego pracowni i prawdziwych opiekunek, Aniela Izdebska. Była to uboga wiejska dziewczyna. Z dobrej i własnej woli poświęciła się ona pielęgnowaniu nieszczęśliwych i przez lat siedmnaście pełniła przy nich najcięższe posługi, a żadnego wynagrodzenia za to nie brała. Powiadają dziś o niej, że wszyscy w przytułku ją pokochali za niestrudzoną cierpliwość, łagodność i pokorę, z jaką znosiła wszelkie przykrości. Chorzy uważali ją za prawdziwego anioła, który im cierpienia i nieszczęsną dolę osładzał. To też śmiercią jej bardzo są zasmuceni.

Obłudne nawrócenie. We wsi Bliskowicach pod Rachowem, jedna kobieta wyuczyła dziewiętnastoletniego żydka zasad wiary świętej i posłała go do Sandomierza, gdzie przebywszy czas jakiś u księży, przyjął chrzest św. Po roku, gdy zdawało się, że się już dostatecznie w wierze umocnił, oddano go na naukę do ślusarza. Ale on, jak się okazało, został chrześcianinem nie z przekonania, tylko w nadziei, że się nim chrześcianie zaopiekują i całe życie darmo żywić będą. Gdy więc zobaczył, że trzeba będzie samemu praco-

wać na kawałek chleba, uciekł do żydów do Ostrowca, bo ojcu bał się pokazać. Żydzi go przyjęli i włożyli po swoich rabinach, a w końcu odesłali do ojca. Ten przyjął go niby jako żyda, choć dobrze wiedział, że on jest katolikiem. Chrześcian bardzo to drażniło, że ów młodzieniec od nich stroni, do kościoła nie chodzi, a nawet na pozdrowienie chrześcijańskie nie odpowiada. Wtem rozeszła się wiadomość, że rodzice chrzestni zapoznawali go do sądu w Lublinie. Nowoochrzczony znikł i czas jakiś nie wiadano w okolicy, co się z nim dzieje. Aż oto Bliskowiczanie będąc którejs niedzieli na nabożeństwie w kościele parafialnym w Swieciechowie usłyszeli nagle w zakrystyi jakieś ostre upomnienie. Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę, a tu z zakrystyi wyprowadzają przed wielki ołtarz owego zaprzańca. Przed nim szedł ksiądz proboszcz. Kiedy stanęli przed ołtarzem, obecni usłyszeli donośnym głosem wymówione słowa: „Uklęknij tu, niegodziwy przemieszanie wiary świętej! Patrz, kogoś obraził! Tego Pana Jezusa deptałeś, i poniewierałeś wiarę Jego świętą!“ Na te słowa w kościele rozległ się głośny płacz. Ksiądz proboszcz nakłonił go do uklęknięcia i kazał mu się modlić. Ale pożałował się Boże, jaka była jego modlitwa! Powiedział, że nie umie się przeżegnać, i pacierza mówić nie chciał, tylko siadł sobie na nogach i przez całe nabożeństwo obracał czapkę w rękę. Był potem przez tydzień na plebanii. Ale niemożna było na nim nie wymódz i odesłano do domu.

Dla przestrogi matkom. Felicya Świerczowa, żona wyrobnika we wsi Politolowie, załatwiwszy się z robotą domową, dała świni jeść i wyszła na pogawędkę do kumoszek. W domu pozostało tylko półroczne dziecko uśpione. Świnia weszła do izby, ściągnęła dziecko z łóżka na ziemię, odgryzła mu dwa paluszki u ręki i dwa u nogi, i pokaleczyła ciało w kilku miejscach. Musiała przytem podrzucać dziecko i widocznie pobiła mu główkę, bo niebawem żątko w parę godzin po wypadku zakończyło życie. Rodzice zostali pociągnięci do sądu.

Michalina Zielińska, żona robotnika z browaru w Łodzi, wychodząc z obiadem dla męża, zostawiła w domu dwóch synków: 7-letniego Władka i 3-letniego Franusia. Trzeci, najstarszy, był w szkole. Wracając o południu do domu usłyszał krzyk, a kiedy drzwi otworzył, ujrzał coś okropnego. W izbie pełnej dymu paliły się różne sprzęty, po środku zaś jej, jeden z chłopaków leżał martwy, a drugi wił się z bólu strasznie popalony. Zbiegli siłownicy, ugasił ogień i odwieźli dziecko do szpitala.

Podobny wypadek stał się we wsi Gadce. Czteroletni synek wyrobnika Grafa, pozostawszy sam w izbie, zapalił na sobie sukienkę, a objęty płomieniami rzucił się na łóżko i zaczął się tarzać po sienniku. Kiedy na krzyk jego nadbiegli sąsiedzi, cała pościel i łóżko były w ogniu. Zalano ogień i wydobyto chłopaczka, ale już nawpół spalonego. Biedak niebawem ducha wyzionął.

Mimowolny zabójca. Dziesięcioletni Ernest Markowec, syn konduktora kolejowego, zabił przypadkiem własną swoją matkę 35-letnią Filomenę Markowec. Stało się to w ten sposób, że chłopiec bawił się starą fuzją, kupioną przed paru dniami przez ojca. Sądząc, że broń nie nabita, pociągnął za cyngiel. Nagle nastąpił strzał — i cały nabój trafił nieszczęsną jego matkę, która pracowała w tym samym pokoju. Biedaczka postąpiła parę kroków i padła nieżywa. Dzieciak, mimowolny sprawca zabójstwa, o mało co nie oszaleje z rozpacz.

Jak się to nieraz z pieniędzmi robi. Stanisław Gościński ze wsi Ciechomic (gub. warszawskiej) sprzedał na jarmarku w Gąbinie jałówkę za 50 rubli. Obawiając się, aby mu kto pieniędzy z kieszeni nie wyciągnął, wpuścił je w spodnie tak, że wpadły aż do cholewy od buta. — No, ztamtąd nikt mi już ich nie wyciągnie — myśli gospodarz i spokojny o swe pieniądze chodzi sobie po jarmarku. Zona też wkrótce sprzedała przyniesiony towar, więc niebawem wracają ku domowi. Idą przez las, ale gospodarz czuje że mu buty bardzo nogi nacierają. Siada więc przy drodze i rozzuwa się. Zrobiło mu się odrazu tak lekko i dobrze, że zarzuciwszy buty na ramię, rażno dogonił żonę, która znacznie go już wyprzedziła. Po chwili żona pyta, gdzie ma pieniądze za jałówkę. Gospodarz struchlał, bo przypomniał, że pieniądze były w cholewie od buta. Zagląda do butów, ale oba puste. Wraca więc czempredziej w to miejsce, gdzie się rozzuwał. Myślał, że pieniądze jeszcze tam leżą. Ale gdzie tam! przepadły jak kamień w wodzie i już ich nie odzyskał. Droga tą wracało za Gościńskimi dużo ludzi, więc ktoś nieuczciwy znalazłszy pieniądze i przywłaszczył je sobie.

A we wsi Komornikach, w guber. Piotrkowskiej, Andrzej Słomka dostał przy podziale spadku 80 rubli. Z tego dziesięć rubli zaraz komuś pożyczył, a resztę nosił czas jakiś przy sobie. Obawiając się jednak, żeby pieniądze nie zgubić, oddał je żonie do schowania. Kobieta myślała długo, gdzie by je najbezpieczniej umieścić; wreszcie owinęła w szmatę i włożyła do garnka z popiołem. Po kilku dniach, zapomniawszy o pieniądzach, zszpala do tegoż garnka popiół świeżo z pieca wygarnięty z niedopalonemi węglami. Od żaru zapaliły się szmaty i swąd spalenizny rozszedł się po izbie. Wtedy dopiero gospodyni przypomniała sobie o pieniądzach. Biegnie do garnka, aż tu jeno szczątki spalonej szmaty i papierków. Nieboga o mało z żalu rozumu nie straciła.



OGŁOSZENIA.

Odznaczona medalem państwowym z wystawy w Bielsku w r. 1890.

Pracownia brązownicza

Fr. Maryniaka w Końskiej,

(poczta Trzynieć na Śląsku)

połącza swego wyrobu kościelne lichtarze, krzyże, dzwonki ołtarzowe i wszystko co wchodzi w zakres tego rzemiosła. Przyjmuje tanio wszelkie reperacye oraz przedmioty do niklowania, srebrzenia i złocenia.

Odpow. redaktor **Franciszek Krukowski.** — Druk K. Studenckiego w Czajcy.